

Andrzej Drzewiński

DEMONY MAXWELLA

Od rana życie Marcinowi uprzykrzał lekki szum w głowie, podobny do tego, gdy woda wejdzie do ucha. Nawet parę razy podskoczył na jednej nodze, lecz nie przeszło. Przejdzie, pomyślał po raz kolejny tego dnia i uniósł głowę. Lekko mrużąc powieki, spojrzął na smugi jasnego światła wpadające przez liczne okna kopuły. Hala Ludowa, prawie stuletnia budowla będąca jednym z symboli Wrocławia, prezentowała się znakomicie po właśnie zakończonym remoncie. Teraz, w zależności od potrzeb, mogła pełnić rolę nowoczesnej, kilkutyśięcnej sali sportowej, kinowej czy - jak dzisiaj - hali wystawowej o niebanalnej architekturze.

- Przepraszam - głos sprawił, że Marcin wrócił do rzeczywistości - czy państwa oprogramowanie spełnia standard...

Odpowiedź na pytanie tęgiego mężczyzny była wydrukowana na każdej z ulotek, ale jedyne co mu pozostało, to uśmiechnąć się i zacząć tłumaczyć. Tak to już jest na targach. A kiedy jest się kierownikiem stoiska, to jeszcze personel ma się na głowie.

Zerknął przez ramię. Jasne, obie jego dziewczyny plotkowały zawzięcie z chłopakami z firmy sprzedającej nowe, kompozytowe materiały budowlane. O dziwo, nie były rozszczebiotane, jak zwykle. Marcin dokończył wyjaśnienia, potem udało mu się zachować spokój, kiedy dowiedział się, jakie zamówienie może wchodzić w rachubę. Chyba mam zbyt małe doświadczenie, pomyślał, kiedy spocony odkładał formularz do teczki z napisem WAŻNE. Właściwie to nie miał żadnego. Jedna osoba zachorowała, druga właśnie urodziła i szef w przypiływie natchnienia obwieścił mu, że ma miłą niespodziankę.

- To twoje miasto - powiedział odkrywco - a jak się spiszesz, to zafunduję ci wycieczkę do Paryża.

Żartowniś, parę dni po imprezie we Wrocławiu, w Paryżu zaczynała się podobna, tylko z trzy razy większa. Westchnął, gdyż jutro miał dać odpowiedź. Plus byłby ten, że paryska wystawa jest czysto informatyczna, a nie taki misz masz, jak tutaj. Z dezaprobatą spojrzął na okazałą betoniarę po drugiej stronie przejścia.

- Styszał pan? - Mariolka odezwała się zza jego pleców. - Na stacji kosmicznej była katastrofa, muszą wszystkich ewakuować.

Z trudem przyszło mu przestawić zwrotnicę dla myśli.

- Stacji, tej międzynarodowej?

- No - teraz głos zabrała Jola - skleszczył im się statek, co zaopatrzenie przywozi, a potem coś dupnęło. Facet w radio mówił, że to rzadki przypadek.

Do stoiska podeszło dwóch trzydziestolatków w ciuchach, które same mówiły, że ich właściciele mają się dobrze. Dziewczyny porzuciły Marcina wraz ze stacją i pożegłowały ku nowym gościom. Zdażył im jeszcze tylko rzucić, że idzie coś zjeść. To nie jest łatwe mieć posłuch u podwładnych, jęknął w duchu i nieoczekiwanie zatęsknił za swoim biurkiem z komputerem. Coraz bardziej upewniał się, że powtórka takiej imprezy w Paryżu byłaby wielką pomyłką.

Brodząc między ludźmi, nieco zdezorientowany gwarem, przeszedł kilkanaście metrów, zanim się zorientował, że pomylił kierunki. Szum pod czaszką stawał się szczególnie dokuczliwy, przypominając rój natrętnych pszczoł. Zrobił jeszcze dwa, trzy kroki i stanął, nie rozumiejąc rozgrywającej się przed nim sceny. Między stoiskami, rozpychając ludzi biegł mężczyzna z wyrazem panicznego lęku na twarzy.

- Szefie, co mam robić?! Co mam robić?! - wrzeszczał za nim młody człowiek stojący przy niewielkim samochodzie-cysternie.

Biegący trzymał się za żebra, lecz determinacja z jaką się posuwał gwarantowała, że sam nie stanie. Marcin poczuł, że do szumu w głowie doszło pulsowanie, gdzieś w głębi ciała.

- Na litość boską, szefie - młody człowiek mocował się z jakimś zaworem zbiornika - dłużej tego nie utrzymam.

Sądząc z twarzy, niektórzy mieli ochotę powstrzymać uciekającego, lecz brakowało im wystarczającej motywacji. Raptem wzrok Marcina wyostrzył się, jakby ktoś mu dopasował właściwe okulary. Dojrzał jak klucz ześlizguje się z gwintu i wypada z dłoni młodzieńca.

- Uciekajcie! - rozległ się jego wibrujący krzyk. - To trucizna, ten gaz to trucizna!

Stęknęło i z tyłu cysterny trysnęła struga żółtego, ni to pyłu, ni to gazu. Młody człowiek schylił się po klucz, lecz w pół ruchu jego ciało jakby zapomniało co ma robić i bezwładnie zwałił się na stelaże sąsiedniego stoiska. Stojące tam kobiety również osunęły się na podłogę. Kilka osób zaczęło wymiotować. Zrozumienie popłynęło przez salę grymasami strachu na twarzach. Dotychczasowy podział na wystawców oraz gości rozsypał się i wszyscy razem ruszyli do wyjść. Szybko jednak utknęli, napotykając tych, których ciekawość gnała w przeciwną stronę. Wrzaski zmieszały się z wyzwickami. Ktoś próbował przejść górą, lecz szybko się przekonał, że daszki to atrapy. Spadając, chyba na coś się nadział, gdyż wrzeszczał teraz przeraźliwie.

Marcin nawet nie próbował biec wraz z innymi. Trucizna i tak będzie szybsza. Nie miał pojęcia jakim sposobem ten zbiornik znalazł się na wystawie, lecz wydawało mu się to bez znaczenia. Coś mógł, a nawet powinien zrobić... Ten szum! Potrącony przez uciekających ludzi uniósł dłoń do głowy i wtedy zobaczył. Cząsteczki gazu miały piaskowy kolor, widział je wszystkie. Widział, jak rozprzestrzeniają się we wszystkich kierunkach, opadają na ludzkie głowy, bezlitośnie wdzierają się do płuc. Ich ruch był przypadkowy, lecz konsekwentny: zająć jak najwięcej miejsca. Przerażliwe krzyki od zacopowanych wyjść świadczyły, że większość ludzi im nie ujdzie. Z trzaskiem tłum obalił kolejne stoiska.

Gdyby tak poszły w górę, pomyślał, a wtedy piaskowa zawiesina posłusznie uniosła się wyżej. Brzęczenie w głowie, mające coś z jednostajności modlitewnego kołowrotka sprawiło, że beznamiętnie przyjął ten fenomen.

Jakaś kobieta ksztusila się boleśnie o krok od niego. Opuścił wzrok i zapragnął, aby to przeszyte bólem ciało wyrzuciło z siebie truciznę. Kaszlnęła, raz i drugi, mocno i bulgotliwie rozsiewając wokół żółty pył. Pył, którego nikt poza nim nie był w stanie zobaczyć. Był tego pewien. Sterując przypadkowym ruchem molekuł powietrza, przeniósł truciznę wyżej. Kobieta przestała sinieć i zaczęła normalnie oddychać. Nie mógł jej poświęcić więcej uwagi, czekali następni. Starając się cały czas utrzymywać wrogą zawiesinę pod samą kopułą, kierował równocześnie swoją uwagę ku poszczególnym osobom, a wtedy ich ciałami wstrząsały skurcze i wykaszliwali piaskowe drobiny.

Zerknął w bok, gdzie z trzaskiem pękło jakieś szkło, a wtedy poczuł zawrót w głowie. Stał, jak niedotrenowany biegacz. Gaz, zawieszony pod kopułą nie atakował już ludzi, lecz swoje zdążył zrobić. Wiele osób leżało czy na wpół siedziato i gdyby Marcina siły zawiodły, ich los byłby przesądzony. Liczni chwiali się na nogach i zataczali, co dodatkowo potęgowało zatory w wyjściach. Zadarł głowę, gdzie w strugach światła płynących przez okna tańczyły drobinki trucizny. Wystarczyłoby, aby okna otworzyły się, a gaz wypłynąłby na zewnątrz, nie czyniąc już nikomu szkody.

Potknął się o mężczyznę, który przyciskał do twarzy mokry kawałek tkaniny ze zdartej dekoracji. Znowu poczuł tętnienie w skroniach. Nie, nie dojdzie do tego jaki mechanizm otwiera okna, tu trzeba radykalnych środków. Gdyby tak szybko mocno ogrzać, albo mocno ochłodzić... Uśmiechnął się, przypominając sobie podstawową wiedzę z fizyki: ciepło to ruch, a kiedy potrafi się kierować ruchem drobin...

Wspart się plecami o ruinę kolorowej reklamy i, ciągle czujny na ruchy trucizny, zaczął zonglować cząsteczkami powietrza. Przy jednych oknach zatrzymywał szybkie, przy innych tylko te najwolniejsze. Zasada zachowania energii, mruknął i roześmiał się w głos. Nikt nie zwrócił na to uwagi i nie dziwota. W końcu byli w piekle. Szybsze cząstki to wyższa temperatura, wolniejsze, bardzo wolne, to bardzo niska temperatura. Bez względu jak dobre były nowo zamontowane szyby, to z pewnością konstruktorzy nie przewidzieli dla nich tak ekstremalnych warunków.

Mężczyzna z mokrą szmatą na twarzy dotknął czoła, a potem spojrzął ku górze. Z sufitu spadały płatki śniegu. Zdziwiony chciał coś zawołać, a wtedy okna, jedno po drugim, eksplodowały. To nie są szyby samochodowe, pomyślał Marcin ze zgrozą, gdy strugi szkła zaczęły spadać świetlistymi łukami. Nie uciekł jednak, lecz całą swoją wolę skoncentrował na wypchnięciu trucizny poza obręb hali. Nie był już w stanie kontrolować lotu odłamków. Ich deszcz ciął po sali, a gdzie przeszedł, tam zostawiał krzyki i krwawiących ludzi.

Pchnięcie sprawiło, że runął na podłogę między kartonowe pudła, uderzając o coś głową. Piekący ból nie pozwolił mu jednak uciec w omdlenie. Sycząc, niemal płacząc, obrócił się na bok i kalecząc palce, wyszarpnął z uda wąski kawałek szkła.

Chwilę później, kiedy podmuch wiatru owiał jego spocone czoło, rozejrzał się wokół. Ludzie już nie uciekali, nawet przestali krzyczeć, chociaż wielu boleśnie jęczało. Do większości dotarło, że jest już po wszystkim. Z trudem wstał i kuśtykając ruszył ku resztkom swego stoiska. O ile dobrze widział, jego dziewczyny opatrywały teraz z tuzin ludzi. Ciekawe, nawet nie wiedział, że mieli apteczkę na stoisku.

– To były anioły, prawda? – starsza kobieta nieoczekiwanie chwyciła go za rękę, kiedy przechodził. – Rozbiły szyby i przegnały zarazę.

Chciał pomóc jej wstać, lecz tylko przewróciła oczami i straciła przytomność. Rozejrzał się bezradnie, a wtedy jego wzrok napotkał lustro, nie wiadomo jakim cudem ocalate. Twarz Marcina, blada, ze smugami krwi, nie przypominała twarzy anioła, pręcej jakiegoś demona. Demona... Zamarł w pół ruchu, gdyż pamięć podsunęła właściwe skojarzenie. Demon Maxwella, wymyślony stwór który choć działałby w z zgodzie z prawami fizyki, stawałby na głowie bieg wydarzeń, czyniąc prawdopodobnymi rzeczy krańcowo nieprawdopodobne. Wykrzywił usta w namiastce uśmiechu, a potem siadł koło kobiety. Po chwili z trudem zaczął machać do ludzi w białych fartuchach, którzy wbiegali do sali.

Następnego dnia obudził się koło południa, co nigdy mu się nie zdarzało, nawet po zakrapianych maratonach. Co ciekawsze, leżał na łóżku w ubraniu, ledwie przykryty narzutą. Niczym małpolud, który dopiero co zlązł z drzewa i jeszcze nie nabrał przekonania do pionowej pozycji, podszedł chwiejnie do okna i rozsunął zastony. Pochmurne niebo łaskawie przywitano go niezbyt jasnym światłem. Rozwarł obie połówki okna i ciężko oparł się o parapet. Krótko mówiąc, czuł się cholernie osłabiony. Pewnie tak czują się wyczynowcy dzień po zawodach.

Począł do lodówki i zaskakując sam siebie, od ręki zjadł dwa kotlety na zimno, duży kawał białego sera, stoik kandyzowanych owoców oraz wysał tubę skondensowanego mleka. Na koniec zdrowo beknął i z butelką mineralnej oraz szklanką przeszedł do stołowego.

– ... o spowodowanie śmierci pięciu osób oraz liczne obrażenia ponad setki innych – głosowi spikera towarzyszyły dramatyczne obrazy na telewizyjnym ekranie. – ... dyrektor firmy, tylko dzięki interwencji służb porządkowych uniknął samosądu. Jednak pierwsze przesłuchania zdają się potwierdzać jego wersję, że do zamiany zbiorników doszło w wyniku

wyjatkowo nieprawdopodobnej zamiany listów przewozowych. Całość wydarzeń zbada specjalna komisja powołana...

Pięć osób, pomyślał i przypomniał sobie twarz chłopaka. Po chwili westchnął i odstawił opróżnioną butelkę na podłogę. Zbieg okoliczności, w porządku, ale cudów, których był sprawcą, tak wytłumaczyć się nie da. Roztarł skronie, a potem ze szklanką w dłoni wstał i przeszedł do łazienki. Wrócił z ręcznikiem, ułożył go niestarannie pod ścianą. Potem robiąc w tył zwrot, przeszedł kilka kroków i od niechcenia rzucił szklanką za siebie. Nawet specjalnie się nie zdziwił, nie słysząc brzęku. Odwrócił się, szklanka spokojnie leżała pośrodku ręcznika. Cud, to zjawisko nieprawdopodobne, niezgodne z porządkiem rzeczy. Ponownie opadł w fotel. No tak, albo po prostu czyni teraz cuda, albo zachwiał się porządek rzeczy.

– ... co spowodowało lawinę - ponownie zaczął rejestrować głos spikera potudniowych wiadomości. - Kiedy wydawało się, że los miasteczka jest już przesądzony, wydarzył się cud. Trudno inaczej to nazwać. Na przeciwnym zboczach doszło do kolejnego obsunięcia, w efekcie dwie lawiny zderzyły się kilkadziesiąt metrów przed pierwszymi domami miasteczka, zmieniły kierunek i poszły bokiem, niezamieszkałym żlebem.

Kamera pokazywała powywracane drzewa i monstrualne zwały błota, na przemian z twarzami płaczących ludzi, płaczących ze szczęścia. Marcin zerknął na szklankę pod ścianą. Błysk na ekranie ponownie przykuł jego uwagę, tym razem pokazywano zdjęcie o słabej rozdzielczości ukazujące kosmiczną stację otoczoną rojem odtamków.

– ... potwierdziły, że jej los jest przesądzony. Kolizja z Progresssem, wybuch, a potem niekontrolowana praca jego silników manewrowych nieodwracalnie wytrąciły stację z dotychczasowej orbity.

W głowie Marcina ponownie odezwał się szum. Z cichym jękiem uniósł dłoń ku skroniom.

– ... na wieczornym posiedzeniu w Brukseli podjęto decyzję o wprowadzeniu nadzwyczajnych środków - pojawiła się mapa Atlantyku oraz części zachodniej Europy z czerwoną smugą zahaczającą o Francję. - Jeśli nie dojdzie do nowych, nieprzewidywanych okoliczności, stacja wejdzie w gęstsze warstwy atmosfery w najbliższy czwartek o godzinie...

Z podwórka od otwartego okna dobiegł ryk samochodowego silnika wzmocniony basowymi dźwiękami muzyki. Chwilę później ktoś zaczął wołać Aśkę. Marcin miał już doświadczenie. Aśka zawsze kazała wielbicielom czekać na siebie. Zatrzasnął okno i wrócił do telewizora.

– ... najbliższe dwadzieścia godzin na własną odpowiedzialność, potem ewakuują się na pokładzie statku ratunkowego „Sojuz”. Ich głównym zadaniem będzie demontaż najwartościowszej aparatury oraz zabezpieczenie materiałów promieniotwórczych.

Marcin nachylił się do telewizora. Na ponownie pokazywanej mapie Paryż oczywiście leżał poza obrębem strefy upadku, ale gdyby ktoś przedłużył jej oś... Znowu ten szum w głowie. Roztarł skronie. Na ekranie, w ramach skrótu wiadomości, raz jeszcze mignął obraz błotnej lawiny. Jakby ktoś to zaplanował, pomyślał.

Techno za oknem zatrzęsło szybami. Marcin wstał gwałtownie i wściekły podszedł do okna. Pod domem adorator Aśki w najlepsze bębnił na współczesnej wersji tam-tamów. Jego owłosione przedramię oparte na opuszczonej szybie, radośnie podskakiwało w rytm muzyki.

Dlaczego ja, a nie on? Tylko dlatego, że znalazłem się we właściwym czasie, we właściwym miejscu? Wielbiciel głośnej muzyki nie miał takich dylematów i jeszcze bardziej podkręcił radio. Zamknięte okno przestawało wystarczać. Marcin zmełł przekleństwo i oparł czoło o szybę. Tym razem chciał usłyszeć ten szum, a kiedy tak się stało, znów mógł dojrzeć molekuly powietrza. Azot, tlen, dwutlenek węgla, mógł je rozróżnić, mógł je przemieszczać. A lepiej powiedziawszy, zachęcać, aby podczas przypadkowych zderzeń dokonywały właściwego wyboru. Krok za krokiem z otoczenia samochodu zaczynało ubywać tlenu, a jego miejsce zajmował azot. Gaz o innych właściwościach, na pewno nie trujący, ale do oddychania niewystarczający. Nazwa z greki pochodzi: a zoe, czyli nie dla życia.

Kierowca zaprzęstał wybijania rytmu na drzwiach i zaczął się wiercić. Wraz z tym zmieniała się barwa muzyki, jakby ktoś ruszył pokrętłami tonów. Kiedy dotychczasowe niskie dudnienie przeszło prawie w soprany, kierowca gwałtownie otworzył drzwi wozu i wypadł na chodnik. Trzymał się za gardło, a z siennej twarzy patrzyły błagalnie wytrzeszczone oczy.

Marcin odskoczył od okna. Cholera, zrobiło mu się gorąco, a szum w głowie gdzieś zniknął. Nie chciał tego, no, nie tak bardzo... Wrócił do szyby, lecz jego interwencja nie była już potrzebna. Wiatr przewiał nadmiar azotu, przywracając powietrzu właściwe proporcje. Podduszony młodzian siedział na chodniku, tykając powietrze niczym wigilijny karp. Wsparły plecami o swój samochód, z wolna dochodził do siebie. Wokół stało kilka osób głośno komentujących całą sytuację. Szczęśliwie ktoś wyłączył to cholerne radio. Marcin wolno wrócił na fotel i wyłączywszy telewizor, ukrył twarz w dłoniach.

Panie Boże, westchnął, co mam robić? Ten dar nie tylko ratował. Niewłaściwie użyty mógł być zabójczą bronią. A przecież wygląda, że są inni. Lawina, stacja... nieprawdopodobne wypadki i cudowne ocalenia. Musi znaleźć tych ludzi. Wtedy więcej dowie się o darze, o nich... i o sobie. Przesunął telefon i wcisnąwszy numer szefa, przyłożył słuchawkę do ucha. Paryż, spadająca stacja, gdzie indziej może znaleźć odpowiedź, jak nie tam...?

Mimo uspokajających zapowiedzi miasto jednak czekało. Na ulicy ruch samochodów był niewielki, a nieliczni przechodnie przemysłali wzdłuż chodników w tempie porcji dozowanych przez kroplówkę. Marcin dopił kawę i odchodząc od okna, postawił ją na stolyczku. Tego czwartkowego ranka nawet słynne paryskie rogaliki nie smakowały mu jak należy.

Mógł wychodzić. Uniósł zawczasu zapakowaną aktówkę, a kiedy ruszył ku wyjściu, oba jej zamki puściły. Zawartość, głównie foldery i kompaktki, rozsypały się po dywanie. Zaklął, gdyż już dawno miał kupić nową teczkę. Przyjrzał się zamkom, no tak, jeden wyłamany, drugi obłuzowany. Nie pozostało mu nic innego, jak zebrać całość w stertę i zejść z tym do recepcji, gdzie dzień wcześniej widział hotelowe reklamówki. Jednak przy kontuarze, gdy oddawał klucz zobaczył, że torby zniknęły. Młody recepcjonista mówił po angielsku z tak silnym akcentem, iż Marcin miał wrażenie, że porozumiewają się po francusku. W końcu chłopak uśmiechnął się promiennie i wskazał na fotele pod oknem. Leżała tam zgrabna, żółta

torba z jakimiś napisami. Marcin włożył do środka swoje materiały, przerzucił pasek przez ramię i wyszedł na zewnątrz. Reklamówek, które leżały pod blatem stoliczka, nawet nie zauważył.

Hotelowy podjazd był pusty, choć wczoraj wieczorem stało tu kilka taksówek. Pierwotnie w tym hotelu miał nocować ich szef, ale ponoć z powodu choroby musiał odwołać swój przyjazd na targi. Tchórz. Marcin zaczął spacerować wzdłuż krawężnika, przywołując w myślach dyskusję oglądaną wczoraj na BBC.

Obszar, na który miały spaść szczątki stacji, przypominał kształtem elipsę o dłuższej osi około stu kilometrów. Wylczenia lokowały ją prawie całą na wodach Atlantyku. Dla ekspertów było oczywiste, że po wejściu w gęstsze warstwy atmosfery niemalże ażurowa konstrukcja stacji rozpadnie się na kilkanaście elementów. Mogło to spowodować dodatkowe, trudne do przewidzenia zakłócenia lotu. W związku z tym ewakuowano część ludności z pasa nadbrzeżnego. Obszar w głębi ładu, w tym naturalnie Paryż, miały być całkowicie bezpieczne. Chyba rzeczywiście tak było, ale prawdę mówiąc, nawet gdyby sprawy miały się inaczej, ewakuacja kilkunastu milionów ludzi po prostu byłaby niemożliwa. Samo zamieszanie, panika mogły wywołać więcej strat niż spadająca stacja.

Hotelowa taksówka z lekkim piskiem zahamowała koło Marcina. Otworzył drzwiczki i wsunąwszy się na miejsce starannie wymówił nazwę hoteliku, gdzie nocowały jego dziewczyny. Kierowca zmarszczył czoło, lecz kiedy jego wzrok spoczął na żółtej torbie Marcina, jakby dostał iluminacji. Ruszyli, a Marcin przymknął powieki. Wczoraj w hotelu rozglądał się za podobnymi sobie. Liczył na przypadek, który w tej całej historii zdawał się mieć decydującą rolę, lecz nic nadzwyczajnego się nie wydarzyło. Naturalnie, wszyscy rozmawiali o tym samym. Jakiś bruchaty Amerykanin opowiadał, że jego kraj wysłał do Europy setkę pocisków Patriot. Może... Tak w ogóle, hotel był peten. Samych japońskich wycieczek było z trzy. W sumie nic dziwnego, w końcu nic tak ludzi nie pociąga jak efektowne upadki.

Taksówka stanęła. Sięgając do kieszeni, Marcin wyjrzał na zewnątrz i zamarł. Zamiast funkcjonalnych pawilonów hotelu, gdzie mieszkaly dziewczyny ujrzał metalową kratownicę gigantycznej podpory. Uniósł wzrok. Nie mogło być wątpliwości, stali koło wieży Eiffela. Taksówkarz, stukając w taksometr, przypomniał o należności.

– Dlaczego... - zaczął, lecz silny szum w głowie powstrzymał dalszą część pytania.

To nie mógł być przypadek, a właściwie to był cholerny przypadek, tylko że zamierzony. Czy on sam był sprawcą tego, czy ktoś inny, nie wiedział. Zapłacił, pociągnął torbę za sobą i wysiadł. Z boku, obok sporej tablicy informującej w kilku językach, że dzisiaj wieża jest zamknięta, stało kilku rostrych mężczyzn w uniformach. Nie zdziwił się, jak wzrok jednego przyciągnęła torba, którą miał na ramieniu. Mężczyzna uśmiechnął się i wyszedł mu na spotkanie. Nawet, gdyby Marcin lepiej znał francuski, szum w głowie uniemożliwiałby zrozumienie pytania. Jedyne co mógł zrobić, to skinąć głową i ruszyć za swoim przewodnikiem.

Najpierw wsiedli do windy, na oko dość wiekowej, lecz ze względu na turystów pewnie często remontowanej. Na platformie, już spory kawałek nad plantami, zamienili ją na nową, szybkobieżną kabinę, która z wawo pomknęła wyżej. Gdy dotarli na najwyższą platformę, Marcin przestąpił próg i napotkał spojrzenia z tuzina osób kręcących się wokół prowizorycznie rozstawionych stołów. Oparty o siatkę balustrady stał rząd żółtych toreb. Wszyscy obecni wyglądali na naukowców. Rzecz jasna, tabliczki na czole żaden nie miał, ale w ich sposobie bycia było coś charakterystycznego. No, jeszcze na stołach stało kilka laptopów, wielki monitor i coś przypominającego futurystyczny odbiornik radiowy. Z tyłu rozpięto na stelażu sporą mapę Paryża.

Było tu chłodniej niż na dole, lecz Marcin na zimno nie narzekał. Kiedy ruszył ku niemu mężczyzna o posturze Obeliksa, dosłownie zlał się potem. Przegiąłem, pomyślał i w desperacji sięgnął ręką do kieszeni. To, że nie znajdzie tam żadnego papieru uzasadniającego jego obecność na tym ewidentnie zamkniętym spotkaniu, było dlań oczywiste.

Obeliks zapytał o coś, otwierając niesioną w ręku teczkę. Wsunął do środka dłoń, a wtedy oczy zrobiły mu się większe. Kiedy ją wyciągnął, palce miał ubabrane tuszem, pewnie z rozwalonego pisaka. Karta zawierająca listę osób wraz ze zdjęciami, nie wyglądała lepiej. Marcin, zaskakując samego siebie, wybuchnął śmiechem i pomachał trzymany w dłoni kartonikiem. Mężczyzna, nawet nań nie spojrzawszy, zawtórował Marcinowi. Porządkowy z grzeczności zdobył się na wymuszony uśmiech i szybko odmeldował. Wąsacz chwilę coś klarował, dając czas Marcinowi na schowanie hotelowego identyfikatora, a potem zostawił go samego sobie.

Po niebie wiatr gnał chmury. Pierzaste i jasne nie wróżyły deszczu. Marcin oparł się o barierkę i spojrzał na dachy domów. Dołem, niczym w gigantycznych spēknięciach wysuszonej ziemi, przemykały nieliczne samochody. Marcinowi, mimo ledwie elementarnej znajomości języka Moliera, z wolna układał się obraz całej sytuacji. Rząd francuski powołał specjalny sztab kryzysowy w związku z upadkiem stacji. Jego część zebrała się w najlepszym widokowym punkcie Paryża, aby monitorować całą sytuację. To było rozsądne, ale przy jednym założeniu, że stolicy Francji coś zagrażało. Zerknął z ukosa na rozpiętą mapę miasta.

Stanął za Obeliksem, który na wielkim ekranie obserwował jakąś animację. Dopiero po chwili dotarło do Marcina, że widzi południową część Wysp Brytyjskich, kanał La Manche, spory kawałek Francji, a wszystko w jakiej chytrej 3D prezentacji. Najważniejsze były czerwone kropki sunące nad Atlantykiem ku linii brzegowej Europy. Wyświetlone koło nich liczby musiały opisywać wysokość i wyglądało, że niedługo całe towarzystwo chlupnie do wody zanim osiągnie brzeg. Ale znalazł się wyjątek.

Ktoś trącił Marcina w ramię. Za sprawą zmierzwionej grzywy siwych włosów mężczyzna przypominał Einsteina. Mówił szybko, najwyraźniej spierając się sam z sobą, przy tym, raz za razem dźgał palcem niebo. W końcu nachylił się, puknął w szkło monitora i wypowiedział z pasją dwa słowa. Pierwsze, soczyste przekleństwo można pominąć, lecz drugie okazało się kluczowe. Progress, uszkodzony statek transportowy, był tym czerwonym punktem, który niespodziewanie uruchomił

na krótko silniki i teraz w pojedynkę zbliżał się do linii brzegowej Europy. Marcin gwałtownie odwrócił głowę i spojrzął w stronę, skąd mógł nadlecieć. Potężny, niesterowalny, możliwe, że nadal z paliwem w zbiornikach. Gdyby spadł na miasto, byłoby źle, bardzo źle.

W rogu monitora pojawiło się niewielkie okno z obrazem uszkodzonego transportowca. Tarcie o atmosferę opalało go niczym kartofla w popiele niszcząc przy okazji panele baterii. Silniki kosmicznego wraku znowu milczały, więc teraz leciał niczym głaz ciśnięty ręką kapryśnego olbrzyma. Nagle ekran załata jasność. Kiedy ściemniało, dało się zauważyć obłok rozchodzący się wokół miejsca eksplozji, lecz statek leciał bez zmian. Ktoś próbował go strącić, lecz nie udało mu się. Francuzi na platformie wybuchli wrzawą. Obeliks zaklął soczyście i zaczął coś szybko mówić do mikrofonu. Co gorsza, ów gadatliwy Einstein zaczął potrząsać Marcina za ramię. Z szaleństwem w oku wskazywał na ekran laptopa prezentującego coś na kształt satelitarnej mapy pogodowej. Wielkie zawirowanie wśród chmur przypominało cyklon.

Szum w głowie znowu zaczął narastać, intensywnością przypominając wrocławskie targi. Marcin wysunął się z grupy naukowców i przeszedł na bok. Łapiąc ręką za poręcz balustrady, chrapliwie wciągnął chłodne powietrze, a potem spojrzął na chmury po zachodniej stronie nieba. Nie miał wątpliwości, co zaraz nastąpi i poczuł strach. Nie wiedział, jak powstrzymać tak masywny obiekt. Moce, którymi potrafił sterować działały jakby subtelniej. Zacisnął mocniej palce na zimnym metalu, a wtedy usłyszał telefon. Dźwięk nie był zbyt głośny, gdyż dzwonił publiczny aparat wiszący na ścianie, nie wiadomo jakim cudem ocalały w dobie telefonii komórkowej. Naukowcy zajęci dyskusją nie zwracali nań uwagi. Trudno im się dziwić, błysk na ekranie i przekleństwa świadczyły, że chybił kolejny pocisk. Na dokładkę, ten zwiadowany meteorolog wrzeszczał coraz głośniej. Marcin niepewnie podszedł do telefonu. To absurd, pomyślał i uniósł słuchawkę.

– Nic nie rób - usłyszał lekko stłumiony głos - sam zajmę się Progresssem.

Mężczyzna mówił po angielsku, lecz akcent wykluczał, że jest to jego rodzimy język. Marcin naprawdę nie potrafił zapytać mniej stereotypowo.

– Kim jesteś?

– Kimś takim, jak ty - w tle głosu rozmówcy słychać było jakby ulewny deszcz. - Jestem niecałe sto kilometrów od Paryża. Na spotkanie statku przygotowałem coś, co powinno zmienić jego tor. Twoja ingerencja mogłaby to popsuć. Myślę, że jeszcze nie potrafimy współdziałać.

Przyciskając kurczowo słuchawkę do ucha, Marcin zerknął za siebie. Mapa pogodowa została przełączona na główny monitor. Naukowcy głośno komentowali śmietanowo gęsty wir chmur na ekranie. Chyba nie musiał tam podchodzić, aby dowiedzieć się, co się dzieje. Wyglądało, że ma informacje z pierwszej ręki.

– Ty wiesz - prawie krzyknął - ilu jest takich jak my?

W słuchawce wyraźnie dało się słyszeć grom, potem kolejny.

– Jest spotkanie - mężczyzna mówił teraz szybciej - w południe, w przyszły czwartek. Tutaj, w Defense pod łukiem. Teraz muszę kończyć

– Jak się nazywasz?

– Luigi - usłyszał, a potem połączenie przerwano.

Stał ze słuchawką w dłoni i dopiero teraz zadał sobie pytanie, skąd tamten wiedział, gdzie dzwonić. Czy tak po prostu wybrał numer na chybił trafił?

Daleki grzmot, dobiegający jakby spoza linii horyzontu, sprawił, że uniósł głowę. Progress spada z orbity wokółziemskiej, gdzie poruszał się z pierwszą prędkością kosmiczną, czyli bagatela ośmiu kilometrów na sekundę. Jeśli Luigi jest sto kilometrów stąd, a statek za sprawą tarcia nie stracił więcej jak połowę prędkości, to można go się spodziewać za niecałe pół minuty. Wszystko wskazuje, że spadnie stromotorowo, jak grom z jasnego nieba, jak nóż wbity zniemacka w bezbronną tkankę miasta. Jezu, przy tak gęstej zabudowie...

Zwabiony nagłą ciszą przeszedł szybko do grupy koło monitora i zajął im przez ramię. Czerwony punkcik właśnie docierał do mlecznego leja. Zderzyły się! Moment trwała cisza, a potem Obeliks zaklął wskazując cyfry szybko biegnące z boku ekranu. Tak, Progress zmienił kierunek, ale za mało, aby ominąć miasto. Wybuchła wrzawa.

– Cholera, wiem, że cyklony nie powstają na takiej wysokości! - krzyczał meteorolog do komórki, tym razem w najczystszy angielskim. - Ale ustalenie jak taki fenomen powstał jest naszym obowiązkiem względem nauki.

Ktoś przydusił Marcina do filara, inny walił po głowie lornetką próbując coś wypatrzeć na niebie. Ostonił się łokciem i zadarł głowę, to musiało być tuż, tuż...

Mężczyzna za jego plecami zaczął się modlić, lecz uciął, gdy upiorny błysk rozświetlił chmury. Zdeformowana bryła statku w niewiarygodnym tempie rozorwała niebo i przy akompaniamencie okrzyków wbiła się z impetem w pejzaż miasta. Błysnęło, ale krótko, a z miejsca upadku wystrzelił smolisty gejzer dymu. Potem zwałił się na nich, raniąc uszy do żywego, na pół grzmot, na pół skowyt katowanego powietrza. Lekko zawibrowała konstrukcja wieży, a w twarz wionęło wiatrem, takim, który zostawia metaliczny smak w ustach. Później na platformie zapadła cisza. Część zgromadzonych, z pomocą lornetek i zawieszono planu miasta próbowała zlokalizować miejsce upadku. Inni, z oszołomieniem w oczach obserwowali, jak wiatr zaczyna rozwiewać szary ślad przelotu.

Nagle czyjś tubalny głos sprawił, że wszyscy odwrócili głowy. Obeliks stał na stole z lornetką w jednej dłoni a nadajnikiem przy uchu. Krzyczał coś radośnie. Marcin ujrzał jak na okalających go twarzach zaskoczenie zmienia się w entuzjazm. W końcu zrozumiał: Progress spadł w sam środek wielkiego stadionu piłkarskiego, który przyjął impet uderzenia a falę uderzeniową skierował ku górze. Jeszcze nie było wiadomo, czy ktoś tam był, ale jasnym się stało, że statek spadł chyba w jedyne miejsce, gdzie mógł nie spowodować ofiar.

Na platformie wybuchła euforia. Nie do uwierzenia, ale pojawiło się kilka butelek szampan, które strzeliły korkami i zaczęły krążyć z rąk do rąk. Marcin również zaliczył kilka łyków. Po chwili z windy wypadła ekipa telewizyjna. Na czele szła wysoka blondynka w seksownej spódnicy. Za nią, niczym świta podążał kamerzysta oraz facet z gigantycznym mikrofonem na długim statywie. Jeszcze dobrze nie stanęli, a już Obeliks został zarzucony pytaniami. Trzeba przyznać, że nie wyglądał na oburzonego. Dobroduszenie wymachując opróżnioną butelką po szampanie, chętnie odpowiadał na pytania.

Marcin dyskretnie wycofał się, obszedł platformę i wszedł do windy. Bez kłopotów zjechał na sam dół, gdzie nie zwracając uwagi porządkowych wyszedł na ulicę. Po kilku minutach marszu zatrzymał się przy trafice, gdzie nabył popielatą, nie rzucającą się w oczy, torbę. Zawartość przepakował, a żółty sakwojaż niezwłocznie wcisnął do kosza na śmieci. Poczut uderzenia kropel na policzkach i przyspieszył kroku. Jednak przyszedł deszcz.

Targowe dni minęły spokojnie. Stacja spadła, nowych spektakularnych wypadków nie było, a życie jak to życie, po okresie zawirowań zawsze wraca do normy. Nawet udało im się podpisać sporo umów, za co w rozmowie telefonicznej szef obiecał premię. To oraz kolacja, na którą zaprosił Jolę z Mariolą sprawiły, że dziewczyny przebaczyły mu spóźnienie z pierwszego dnia.

Teraz, jak i wszystkie inne zespoły, demontowali stoisko i pakowali cały majdan do skrzyń. Duże, ścienne reklamy zostały już zdjęte, część oświetlenia wyłączono, podobnie jak połączenia internetowe stoisk. Marcin przeglądał papiery, odkładając na bok te, które miały pójść na przemilenie. Od czasu do czasu zerkał na sąsiedni boks, gdzie wciąż był w użyciu pożyczony od nich przedłużacz.

– Pan Krzemiński? - usłyszał zza pleców z trudem zrozumiałe własne nazwisko.

Spojrzał przez ramię, lecz twarz mężczyzny nic mu nie mówiła.

– Słucham - wyprostował się - czego pan sobie życzy?

Czterdziestolatek w dobrze skrojonym garniturze pokazał mu legitymację zalaną folią.

– Alex Mulder - przedstawił się zgodnie z tym, co stało napisane. - Jestem członkiem ochrony europejskiego ośrodka badań nuklearnych CERN. Chciałbym z panem porozmawiać.

Marcin wytarł zakurzone dłonie.

- Nie rozumiem - nie ukrywał zdziwienia - czy chodzi o zamówienie?

Mężczyzna pokręcił głową.

- Powiem wprost. Myślę, że jest pan jedną z osób, wokół której dzieją się ... - zawahał się, aby zakończyć z rozbijającym uśmiechem - dziwne rzeczy.

Marcin, stojąc z nim twarzą w twarz, raz jeszcze wytarł dłonie w szmatę. Potem odwrócił się ku bliższej z dziewczyn.

– Jola, idę pogadać - machnął w stronę pasażu usługowego - walczcie same.

Przeszli między stoiskami, wymijając kartony oraz trudne do identyfikacji elementy wystroju stoisk. W kawiarence, jeszcze wczoraj pełnej ludzi, dzisiaj panował nostalgiczny nastrój końca epoki. Szczęśliwie kawa okazała się tak samo dobra jak poprzednio.

– Nie rozumiem, co może chcieć CERN ode mnie, instytucja...

Mulder stuknął łyżeczką o brzeg filiżanki.

– Nie reprezentuję CERN, jedynie samego siebie - upił niewielki łyk. - Obydwaj wiemy, że w ostatnich dniach w Europie w wyniku nadzwyczajnych zbiegów okoliczności doszło do kilku katastrof. Co równie ciekawe, za każdym razem inne, równie mało prawdopodobne, wydarzenia w trudny do przecenienia sposób ograniczyły liczbę ofiar.

Marcin skinął lekko głową, lecz nie odezwał się.

- Szukałem związku między tymi faktami, analizowałem twarze osób, które brały w nich udział - Mulder machnął dłonią - w dzisiejszych czasach można mieć dostęp do mnóstwa informacji. Z personaliami też można sobie poradzić, szczególnie, jeśli ktoś je umieszcza na własnej stronie internetowej. Krótko mówiąc, pana Marcina Krzemińskiego zidentyfikowałem zarówno podczas wydarzeń na targach w Polsce, jak i pośród osób komisji obserwującej upadek Progressa na Paryż.

Wzruszenie ramion Marcina było wymowne.

– Zwykły rachunek prawdopodobieństwa mówi...

– Zwykły rachunek prawdopodobieństwa pada tutaj na twarz - przerwał Mulder. - Chociażby to, że na wieży zamiast pana powinien się znaleźć epidemiolog Bonnet. Z resztą naukowców mieszkał w tym samym hotelu co pan. Nie pojechał jednak na spotkanie, gdyż rano dostał ataku trzustki i zabrano go do szpitala. Wygląda, że na wieżę dostał się pan za sprawą fantastycznego przypadku i, co ciekawsze, z ochotą.

Kawa przestawała smakować Marcinowi.

– Skąd pan to wszystko wie?

Mulder uśmiechnął się tajemniczo, ale bez typowej nuty wyższości.

– Rozmawiałem z recepcjonistą, ale proszę się nie obawiać, nie zorientował się o co mi chodzi - uniósł uspokajająco dłoń. - Poza tym kilka dni przed tymi wydarzeniami... - na ułamek sekundy zawiesił głos - śnił mi się pan, a mnie... a moje sny czasami sprawdzają się.

Marcin spojrzał uważnie, lecz jego interlokutor najwyraźniej mówił poważnie. Co więcej, nie pozwolił mu zabrać głosu.

– Myślę, że czas, aby dowiedział się pan, co wydarzyło się w CERN, w lipcu ubiegłego roku podczas pierwszego eksperymentu z nowym akceleratorem cząstek. ■

„DEMONY MAXWELLA”, TO POCZĄTEK DŁUGIEGO OPOWIADANIA, KTÓRE AUTOR ZAMIERZA ZAKOŃCZYĆ W TYM ROKU